

PLÓMYCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI



— JUŻ ZACZYNAMY PRACĘ W OGRÓDKU.

Wierzbowe gałązki.

Gdzieś w polu, nad jakimś rowem rosła wierzba. Stara była, bo stara, ale gałązki co roku miała młode.

Na jesieni gałązki okryły się pączkami. Grubsze były na kwiaty, cieńsze na liście.

— Będziecie miały dwie sukienki na wiosnę — powiedziała matka - wierzba. — A najpierw — tę kwiatową.

Jeszcze zima na dobre nie odeszła, jeszcze mróz poszczypywał ludzi w nosy, a już osłony na pączkach zaczęły się rozchyłać i któregoś słonecznego południa kwiatuszki wierzby na świat wyjrzały.

Wyglądały zabawnie, nie jak kwiaty, ale niby podłużne, kosmate baryłki.

Rozglądają się kwiatuszki po świecie... rozglądają.

— Pani matko, — pyta jeden z nich wierzby — a co tam jest dalej, za tem polem, za tym lasem?

— Tego nie wiem. Całe życie stoję na jednym miejscu, ale zapytajcie wiatru, on wam powie.

Wiatr, wiadomo, gaduła nie dał się długo prosić i naopowiadał kwiatkom dziw - dziwności, cud - cudności o tem wszystkim, co jest na świecie.

I od tej pory kwiatki jeszcze więcej pragnęły ten daleki świat zobaczyć.

Zobaczyły...

Pewnego ranka zahuczało nagle, zabręczało, zakrzyczało na cichem dotąd polu.

To dzieci ze szkoły pędziły ku wierzbom. Pędziły, ile w nogach siły.

— Kotki! Patrzcie, jakie śliczne kotki! — wołało jedno.

A drugie:

— Bażki! Bażki już są na wierzbach!

Inne znowu zaśpiewały:

„Kocanki, kocanki,
gałązka wierzbowa!

Rozwinęła się nam
ta palma kwietniowa!“

Wszystkie zaś przychwalały radośnie:



— Już ładniejszych gałązek na palmy nie znajdziemy nigdzie.

I nuż jak koty wchodzić na drzewo. Narwały całe pęki, a potem hyc! hyc! przez pole do domu.

W domu zaczęło się przystrajanie gałązek.

Poowijano łodygi mchem... kto wtykał pstre kwiatuszki z papieru, kto piórka pawie... kto kokardki złociutkie.

Wystrojono każdą gałązkę, niby pannę młodą do ślubu.

Następnego dnia, że to była Kwietnia niedziela, caluśka wieś wysypała się do kościoła. A każdy: dorosły czy dziecko, stary czy młody niósł w rękę ślicznie przybrane gałązki wierzbowe. Tylko, że te gałązki nazywały się teraz palmy.

Biją duże dzwony rozgłośnie, biją małe dzwonki cieniutko, setki ludzi śpiewa... setki palm ksiądz błogosławi i skrapia wodą święconą... To Kwietnia niedziela.

J. Chrzyszczewska.





Pisanki.

— Pisanki, kraszanki!
 A tyle ich, tyle!
 Te moje, te Hanki.
 Śliczne jak motyle:
 żółciutkie, czerwone,
 zielone i złote!
 Te śliczne,
 te w kwiatki
 wstążeczką oplotę!
 Na święta radosne
 tak trzeba ich dużo.

Każdemu wiosenkę
 pisanki te wróżą!
 Dla tatka, matuli,
 dla siostry i Janka,
 dla starej babuli
 też będzie pisanka!
 Dla Kasi ta złota,
 niech zazna wesela,
 niech wie i sierota,
 że Wielka Niedziela.

Janina Kamińska.

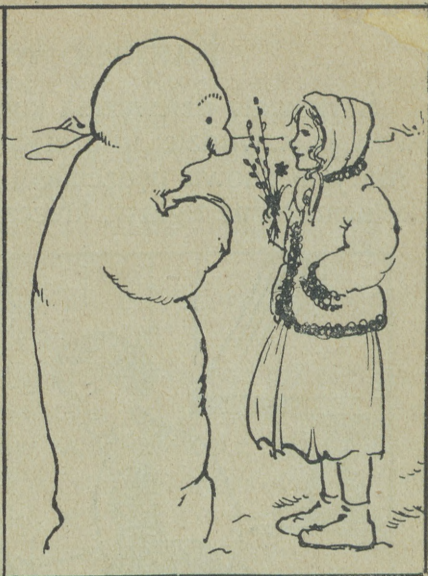


Dobranoc.

Dobranoc, maleńka,
już spać chce sukienka
i fartuszek też.
Pewnie o tem wiesz?
Koszulka zmęczona,
niech zaśnie i ona,
i twe butki dwa
zasną a - a - a...



Dobranoc, kochanie,
już nocka — spać czas.
Jutro wszystko wstanie
rankiem z tobą wraz.
Jutro wszystko wstanie,
czeka na to tuż.
Zaraz wołać zacznie:
— Chodźmy biegać już!
E. S.



W lodowej zbroi
bałwanek stoi.

— Patrz, woła Hanka,
— kwitnie kocanka!



— Biada mi, biada!
Topnieć wypada.

— U... płacze Hanka.
— Niema bałwanka!

Zimowi goście odlatują.

Już ostatnie dni zimy. Ale noce i poranki jeszcze mroźne. Wiatr spędza raz po raz czarne chmurzyska. A o słońcu to ani widu, ani słuchu.

Wszystkim takie zimno już dokuczyło, a najwięcej leśnym i polnym mieszkańcom.

Ot i teraz. Pod dużym krzakiem jałowcu przykucnęło stadko kuropatw i drży z chłodu.



JEMIOŁUSZKA.

wa się jemiołuch lub jemiołuszka.

Zaraz na początku zimy przylatują do nas ci goście całymi gromadami.

A dlaczego nie siedzą u siebie?

Dlatego, że w ich krajach zimą straszne są mrozy i pożywienia brak. U nas jest cieplej, a jedzenia mają, ile ptasi dzióbek zapragnie.

Nastroszyły piórka, tuła się jedna do drugiej, żeby ogrzać się choć trochę. I cicho, cichuśko żalą się w swojej ptasiej mowie:

— Och, jak zimno! Jak strasznie zimno!

Usłyszał te żale gruby, pękaty ptaszek, który właśnie przyleciał do jałowca na śniadanie.

Cóż to za jeden, ten jęgomość?

Jest brunatno szary, o czerwonej kamizelce, na końcach skrzydełek widać żółte paski i czerwone plamki. A na łebku ma taką małą kitkę z piórek. Czyba że on nie tutejszy, czy co?

Właśnie, właśnie. To nasz zimowy gość z dalekich północnych krajów. A nazy-

I jakie jeszcze przysmaki!

Tu korale jarzębiny, tam kaliny, ówdzie jagody jałowca, a jeszcze gdzieindziej białe, lepkie w środku owoce jemioli. Kto nie wie, co jest jemiola, to mu prędiutko powiem:

Jemiola jest to taka roślina, która nie zapuszcza korzonków w ziemię, jak to wszystkie porządne rośliny robią, ale zapuszcza je w korę jakiegoś drzewa, najchętniej topoli i karmi się jego sokami.

Otóż, białe jagódki tej rośliny to dla naszych gości przysmak nad przysmaki.

— Co wy tak narzekacie na zimno, moje panie kuropatwy? — odezwała się jemioluszka. Wcale nie jest zimno. Nam za gorąco już nawet.

— Tylko patrzeć, jak wyruszymy zpowrotem do naszego kraju — dodała druga, nadlatująca, jemioluszka.

— A cóż tam jeść będziecie? — spytały kuropatwy.

— Co innego, niż tutaj. Będziemy zajadały owady. Niech tylko ciepła nastaną, to tam wylęgnie się takie mnóstwo komarów, że przejeść ich nie będzie można.

— Ale na przyszłą zimę znowu powrócicie do nas?

— Niewiadomo. Jeżeli zima będzie ciężka, wrócimy; jeżeli lekka, zostaniemy u siebie.

Wtem coś, niby purpurowy płomyczek, mignęło w powietrzu.

Pewien jegomość w czerwonej kamizelce przysiadł sobie na krzaku.

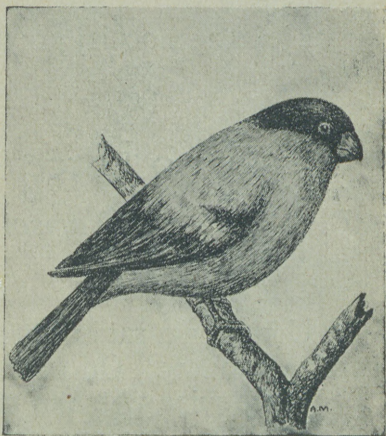
Był to pan gil we własnej osobie.

Zaraz też wmieszał się do rozmowy.

— Słyszałem, że mówicie o odlocie. I my, gile, odlecimy też wkrótce.

— A daleko stąd? — spytały jemioluszki.

— Niebardzo. W góry. Tam najlepiej nam w lecie. Ale



GIL.

zimą wrócimy tu z pewnością. Kwiczoły i paszkoty także wybierają się na lato w górzyste okolice.

Skulone pod krzakiem jałowcu kurobatewki słuchały tej gawędy, a później szepnęły cichutko:

— Ale my nie powędrujemy nigdzie i nigdy. Czy upał, czy mróz, czy źle będzie, czy dobrze, zostaniemy zawsze w naszej wiosce.

I jeszcze mocniej przytuliły się jedna do drugiej.

J. Chrząszczewska.

Bajka o kurce, co zniosła złote jajko.

7)

(Napisał L. Wiszniewski.)

VII.

U króla akurat bawili zamorscy goście. Przyjechali na rycerskie zabawy. Od świtu do nocy urządzali igrzyska.

Jakże więc w takim czasie zabierać królowi czas?

Zabierać czas sprawą babuleńki i jej kurką?...

Niech czekają, aż się goście rozjadą!

Babuleńka, aby darmo chleba nie jeść, musiała dla królewskiej czeladzi groch łuskać.

Kurkę, jako wielkie dziwo, do klatki wsadzili. Do starej, drewnianej klatki. Tyle jeno, że jej pośladu nie żałowali!

Nadszedł dzień odjazdu zamorskich gości. Trzeba było tę chwilę uczcić wspianiałym obiadem. Przygotowano sto beczek kapusty. Zabito: sto wołów, sto baranów, sto gęsi, sto kaczek, sto kur! Upieczono: sto bochnów chleba, sto bab, sto placków i sto migdałowych mazurków!

Główny kucharz chodził od garnka do garnka, od pieca do pieca, próbował, poprawiał, liczył.

Nagle kucharz wrzasnął:

— Sto gąsek, sto kaczek, a kur dziewięćdziesiąt dziewięć!.. Gdzie jest setna kura?

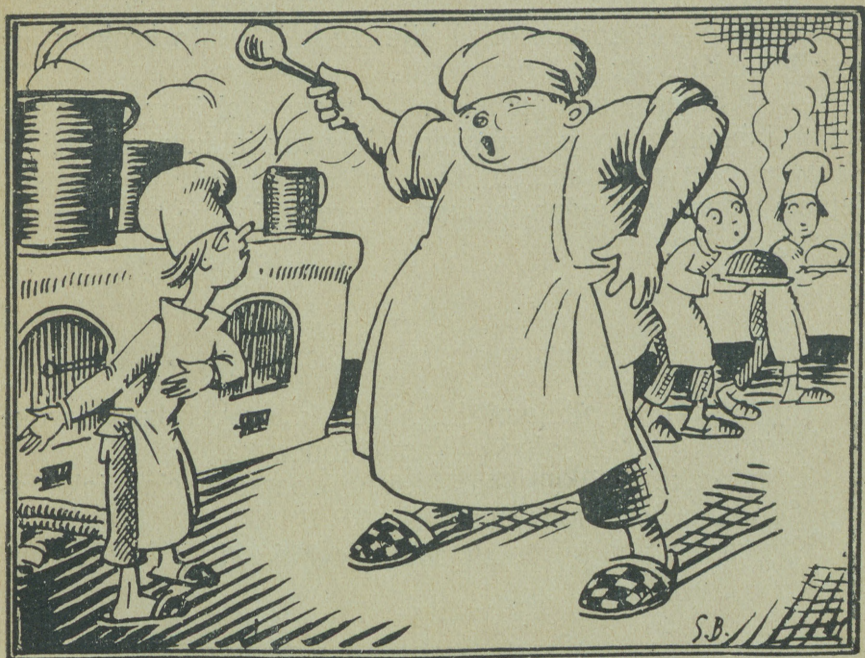
Nikt nie odpowiadał, bo nikt nie wiedział.

— Gdzie jest setna kura? — wrzeszczał coraz głośniejsze pan kucharz.

Jeden z kuchcików, co nieco od innych śmielszy, do różnów z pieczonemi kurkami podszedł.

— Jedna kurka, dwie kurki... — zaczął liczyć, a przeliczywszy, rzekł z cicha:

— Toć, panie kuch mistrzu, kurki są wszystkie, pewnieście się pomylili przy liczeniu...



— Mnie to, smyku jeden, będziesz uczył rachowania?... A unykaj stąd zaraz!... — krzyknął gniewnie pan kucharz. Ale zabrał się ponownie do liczenia.

— Jedna kurka, dwie, trzy... sto... a to co takiego?... Teraz sto jedna?... Czary, nieinaczej — jeno czary...

Tymczasem królewscy goście — oj! jak się nudzili, na owe pieczone kurki czekając.

Pan ochmistrz, aby czas skrócić, gości zabawić, rozweselić, do śmiechu pobudzić, jął starą a uciészną historję opowiadać, jakto lisa ogoniastego upolował:

— Miał ci ogon dwudziestokciowy!

— Może co waszmość opuści? — ktoś się ze śmiechem odezwał.

— Dwudziesto jak dwudziesto, ale piętnastokciowy — to napewno!

I jak pan ochmistrz zaczął opuszczać, to lis został zupełnie bez ogona.

A potem to już różnym opowiadaniom nie było końca.

— Mam ci ja na zamku — powiedział jeden z gości — taki kamień, że dniem nie dniem, nocą nie nocą świeci niby słoneczko maluchne... A gorąco odeń bije, że hej! O sto kroków już się człek czuje, jak pod pierzyną...

— A przed moim zamkiem — opowiadał inny — rośnie jabłoń, jabłoni dziwo, jabłoni cudo. Cały rok jabłuszka rodzi — czerwone-czerwoniutki, słodkie-słodziutki... Ale to najdziwniejsze: ledwie kto jedno jabłuszko zerwie, już na tem miejscu inne się rumienią...

Dokończenie nastąpi.

Chłopczyk do ubierania.

Przed paru tygodniami dostaliście kolorową dziewczynkę do ubierania, a teraz dajemy Wam chłopczyka.

Tę lalczkę i jej ubranka należy tak samo wyciąć, jak i lalczkę dodaną do „Płomyczka” Nr. 26.

Kto zapomniał, jak to się robi, niechaj zajrzy do tego numeru.

OFIARA NA SZKOŁĘ W GDYNI.

Dla uczczenia pamięci kochanego kolegi, ś. p. Marjana Wasia, uczniowie klasy podwstępnej Szkoły Ziemi Mazowieckiej składają 10 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyczek”	miesięcznie 1 zł. —	— za cały rok szkolny	9 zł.
„Płomyczek” z „Płomykiem”	miesięcznie 2 zł. —	— „ „ „ „	18 zł.
„Płomyk”	„ 1 zł. 50 gr. —	— „ „ „ „	14 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,

„Płomyczka” z „Płomykiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O. № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.